

# Komputer jako maszyna moralna

**Lech Stępniewski**

**W** czasach Newtona przyrządy używane do badań fizycznych nazywano „instrumentami filozoficznymi”. Nikt naturalnie nie chciał przez to powiedzieć, że pryzmat czy wahadło poczynają sobie z zagadkami bytu bystrzej niż plebejski młotek. Były „filozoficzne”, bo i fizyków uważano wtedy jeszcze za zbzikowanych na punkcie matematyki filozofów przyrody. Ale w pewnym sensie były również filozoficzne naprawdę: szybko okazało się, że docieklive przestawianie z nimi odmienia obraz świata i sny filozofów.

Podobne skutki mam na oku mówiąc o komputerze jako o maszynie moralnej. Nie twierdzą naiwnie, że ludzie wstają, albo będą wstawać od klawiatury cnotliwsi. W to nie uwierzyliby nawet prosty czytelnik gazet, w którego wyobrażeniu komputer służy przeważnie do włamywania się do banków, zabijania kosmitów na ekranie i oddawaniu się rozpuciu w Internecie. A jednak, myślę, w samej naturze działania komputera jest także coś, co powoduje, że niezależnie od tego, czy przechowujemy na dysku dzieła Ojców Kościoła czy też fotografie bezpruderyjnych dziewcząt, posługiwanie się nim wpływa na naszą zdolność moralną.

To horrendalne przeświadczenie kłóci się z rozpowszechnionym dziś poglądem, jakoby narzędzia były same w sobie moralnie obojętne. Nóż, powiada się, równie dobrze służy do krojenia chleba, jak i do zabijania. Gdy u Szekspira widmo skrwawionego sztyletu pcha Makbeta do mordu, my, widzowie nowocześni, rozumiemy od razu, że to tylko poetycko ujęta psychologia.

W epoce mniej nowoczesnej pewien mądry rabin utrzymywał natomiast, że z każdego ludzkiego wynalazku płynie jakaś nauka moralna. – Aj, rebe – dziwili się jego uczniowie – jaka też nauka moralna może płynąć na przykład z głupiego telegrafu na pocztę? – Że za każde słowo trzeba będzie w końcu zapłacić. – A z pędzącego samochodu, rebe? – Że na drodze życia człowiekowi najbardziej potrzebne są hamulce. – A jaka nauka płynie z telefonu? – Że mówi się tu, ale słychać tam – odparł rabin i pobożnie wniósł oczy w górę.

O tym, że również z komputera płynie surowa nauka moralna, przekonałem się niedawno na własnej skórze. Zamieniałem akurat sektor startowy dysku, beztrząsco ignorując (a bo to pierwszy raz robię?) różne straszliwe ostrzeżenia, i gdy właśnie



zignorowałem ostatnie, w rodzaju:

are you really sure?, a dysk zamruczał łagodnie jak kotek, nagle Coś mi się przypomniało... Już w następnej sekundzie wiedziałem, że postąpi-

łem lekkomyślnie, i wiedziałem też, że mój

postępek drogo mnie będzie kosztował.

W życiu pozakomputerowym podobnie jasne przeżycie związku między własnym czynem i jego następstwami zdarza się, wbrew pozorom, dosyć rzadko. Podkreślałem: przeżycie, a nie suche „uświadczenie”, gdyż na poziomie wiedzy jest to banalny niewart złamanego grosza. O tym, że człowiek posiada moc tworzenia przyczyn, które wplatają się w przyczynowo-skutkową tkaninę świata, „wie” każdy, ale realne życie nie toczy się w głowie. W potoku codziennych wydarzeń zaciera się związki błahie: stłuczone kolana, palce przycięte w drzwiach, natomiast owoce najważniejszych decyzji z reguły dojrzejają niespiesznie. Gdy zaś wreszcie po latach dojrzejają, nierzadko płaczemy nad sobą, dziwiąc się za co los nas pokarał, choć oto ukaraliśmy przecież sami siebie.

Doświadczenie własnego życia jako konsekwencji niegdyś dokonanych wyborów nie przychodzi łatwo. Rozum dostarcza tyłu usprawiedliwień, że nawet nałogowy palacz umierający na raka płuc potrafi zapomnieć o swoim pierwszym papierosie. Także współczesne instytucje działają destrukcyjnie na zasady moralne.

Dla humanistów patrzących z obrzydzeniem na kombinerki zabrzmi to z pewnością okropnie, ale kto wie, czy – przymusowo ubezpieczeni o wszystkiego – niedługo ocalenia fundamentów moralnych cywilizacji nie będziemy zawdzięczać właśnie maszynom. Wszak jeszcze tylko obcowanie z nimi wymaga pewnej elementarnej odpowiedzialności i może zrównoważyć wpływ zgubnego obcowania z urzędnikami.

Maszyna jest nieprzekupna, konsekwentna i po swojemu sprawiedliwa: nierozważnemu – oberwie rękę; niezapobiegliwego – zawiedzie w krytycznej chwili. Nie kolaboruje z władzą, nie ześwini się, bo w domu „żona i dzieci”. Bodaj też i komunizm upadł głównie dlatego, ponieważ w ustroju tym tak nikczemnie obcho-

dzono się z maszynami. To one nie wytrzymały – a nie ludzie!

Komputer potrafi udzielić człowiekowi lekcji moralnej lepiej niż przeciętne narzędzie. Licho załatana rura zapewne pięknie dopiero w okolicach najbliższego Bożego Narodzenia, podczas gdy przy pracy z komputerem istnieją tysiączne możliwości, by zrobić głupstwo, którego skutki będą widoczne natychmiast. W dodatku nawet najbardziej nierozważne formatowanie dysku można jakoś przeżyć, a potem zdobyć się jeszcze na refleksję nad swoim postępowaniem. Po nierozważnym wyprzedzaniu we mgle podobna refleksja staje się zazwyczaj już tylko udziałem uczestników pogrzebu.

Prostolinijność komputera budzi czasem lęk u nowicjuszy: pliki nigdy nie są kasowane „trochę”, nie zapisane – zawsze giną bez wieści. Zarazem w trakcie nauk odkrywają, że klawiatura należy do innego porządku, w którym przy podejmowaniu decyzji naprawdę obowiązuje ewangeliczne: Tak, tak. Nie, nie. Z tego punktu widzenia każdy komputer zachowuje się bowiem, jakby w istocie był maszyną jednobitową!

Niestety, twórcy oprogramowania prześcigają się ostatnio w uprzyjemnianiu życia również największym lekko duchom. Ich ideałem jest nieograniczone „undo”, backup w tle wszystkiego we wszystkie możliwe miejsca oraz sprytnie kosze na śmieci, które jedynie udają kasowanie, przenosząc chyłkiem pliki na następne pięć lat do ukrytego katalogu. Na szczęście dla naszego rozwoju moralnego Windows wciąż jeszcze się zawieszają...

Jednak nie każdemu przynosi to pożytek. Nie tak dawno zastałem swoją znajomą wpatrującą się smętnie w ekran i powtarzającą monotonnym głosem: Dlaczego on to zrobił? Zapytana delikatnie, czy ma jakieś kłopoty osobiste, odparła: Ach, nie. Tylko on – tu wskazała na monitor – znowu zjadł mi sprawozdanie dla szefa.

Pomyślałem wtedy, że o duchowych zaletach komputerów opowiem jej raczej innym razem. Trudno bowiem przekonać do nich kogoś, kto na dobry ład nie bardzo zdaje sobie sprawę z tego, co czyni. Duch wprawdzie wieje, kędy chce, ale bieda w tym, że bez światła wiedzy łatwo go pomylić ze zwyczajnym wiatraczkiem.

Jak się okazuje, istnieją zatem także racje natury moralnej, aby regularnie czytać CHIP-a.

## Problemy?

**Janusz Korwin-Mikke**

**N**a moim biurku stoi pecet. Stoi modem. Stoi monitor. Leży mysz. Wszystko to produkowane jest przez prywatne firmy – i działa.

Wszystko jednak przyłączone jest do sztywnego łącza, za które regularnie płacę Telekomunikacji Polskiej SA. Na ogół to łącze nie działa. TP SA jest bowiem państwowym monopolistą, którego otrzymaliśmy w prezencie od b. Kongresu Liberalno-Demokratycznego – czyli cwaniaków, którzy podszyli się pod „liberałów” w tej właśnie postaci.

100% akcji TP SA ma państwo. Czyli, w praktyce, urzędnik. A on sobie, jako monopolista bimba.

Póki co, informatyka ma własne kłopoty. Jednym z nich jest właśnie wpisywanie się w wolny rynek.

Dzięki wolnemu rynkowi, brakowi w tej branży związków zawodowych, nieruchowości biurokracji (która na szczęście nic a nic nie rozumie, o co w tym wszystkim chodzi) komputeryzacja rozwija się wspólnie. Oczywiście: nie tam, gdzie państwo jej „pomaga”! Nie ma np. gorszej firmy, niż popierany przez państwo francuskie „Bull”. Więc, oczywiście, biedne państwo polskie na prośbę ichnich frank-masonów pośpieszyło (tzn.: nasze demo-liberalne pacholki frank-masonów pośpieszyły – podobnie jak w przypadku „Berlieta” czy „Thompsona”; jak wiadomo, sprawy między masonami owiane są tajemnicą – i dlatego p. Jacek Jerzy Pilchowski nie może się dowiedzieć, kto jest odpowiedzialny za tę aferę!) zamówić właśnie u „Bulla” komputeryzację Ministerstwa Finansów. Ku radości podatników system już szósty rok (od chwili przewidywania oddania do użytku) nie działa. Dobrze byłoby teraz zamówić poprawienie tego spaпанego systemu w jakimś państwowym instytucie – np. urugwajskim. Tam państwo też popiera komputeryzację i ma państwowych specjalistów z dyplomami. Murowane dalsze 6 lat odpustu. Smutne dla podatników jest tylko to, że za tę przyjemność, czyli za brak komputerów trzeba jednak coś zapłacić...

Ważniejszym problemem jest regulacja opłat za programy. Obecny system,



nabytek można odpisać od podatku. Po wprowadzeniu normalnych podatków procent legalnych nabywców spadłby zapewne do 5 lub jednego procenta.

Dlatego zdecydowanie opowiadam się za rozwiązaniem „tele-wizyjnym”. Dlaczego Alladyn ma podrzucać pomarańczową piłkę – a nie z napisem „Coca-cola”? Dlaczego muszę codziennie wpatrywać się w obłoczki „Windows” – zamiast oglądać raz reklamę batoników „Mars” – a raz „Chio-Chips”? Albo pisma „CHIP”? W tej chwili programy mają już

gdzie 1/5 legalnych nabywców płaci za siebie i za 4/5 piratów – jest na dłuższą metę nie do utrzymania. Trwa tylko dlatego, że mamy absurdalny system podatkowy, w którym

nie uproszczonej grafice. Chodzi o program użytkowy! Mój adres: [www.upr.org.pl](http://www.upr.org.pl)

**Wreszcie sprawa dla informatyki najważniejsza: integracja rządów.**

Nie jest najważniejsza – gdyż rządy nigdy już nie zdołają zapanować nad tym żywołem, jakim stała się informatyka. Nie ma sposobu, by urzędnicy państw zdołali przeczytać choćby 1% tego, co biega po np. Internecie – i odróżnić bełkot od istotnej informacji. Bez kłopotu dowolną wiadomość szpiegowską potrafią zamaskować jako wypowiedź w dyskusji na liście dialogowej „o problemach menstruacji”. Lub implementacji polityk zabezpieczania praw człowieka. Lul o ekologii. W bełkocie można przemycić wszystko. Może trochę gorzej z obrazem – ale i to się rozwiąże.

Hackerzy włamujący się do serwerów Pentagonu nie mają za sobą info-socjety. Hackerzy walczący z kontrolą rządów na informację mają 99% nas. Dlatego poradzi mi sobie z rządem i jego śmiesznymi rozszczeniami. Zawsze przechrztny dowolny system kontrolny. Tyle, że

kosztem straty czasu wysiłku i pieniędzy.

No, ale wytłumaczenie rządowi, że działa głupio – to już moja dziedzina!

Natomiast z belkotem poradzi sobie wolny rynek. Za komunizm marzyłem, stojąc w kolejce do telefonu o osobnych budkach dla kobiet. Dziś – niech sobie baby (i chłopcy też!) gadają ile wlezie. Za swoje pieniądze. Inne firmy naprzeciągają drutów i pół GSM – tym taniej już będzie rozmawiał.

I dokładnie to samo stanie się z Internetem. Po jego pełnej komercjalizacji – i podziale na konkurencyjne, wspólne i prywatne – pracujące ze sobą w Sieci

Bo oto porzucamy przeklęty XX wiek – wiek socjalizmu. Jesteśmy już jedną nogą w wolnym XXI wieku. Wieku neo-kapitalizmu. Z nowymi narzędziami, stworzonymi przez dzielnych konstruktorów i programistów. I nowymi problemami

Z którymi już Wy, młodzi, będziecie się sami borykać!



miliony odbiorców, firmy powinny płacić za reklamę w programach – a ludzie otrzymywać te nafaszerowane programy za darmo. I po problemie! Używanie państwowej policji do łapania setek milionów piratów jest bez sensu. Jest to sprawa przegrana; i im wcześniej firmy zdadzą sobie z tego sprawę – tym lepiej.

Przy okazji: poszukuję programisty umiającego zмайстровać coś podobnego do „Alladyna” – na szczęście o niesłycha-



## Jakiego komputera potrzebują Polacy?

**Michał Ogórek**

**W** zależności od potrzeb, każdy z nas potrzebuje innego rodzaju komputera oraz innego do niego oprogramowania, zdarza się zaś bardzo często, niestety, że ma zupełnie nieodpowiedni. Poniżej ułożyliśmy parę ogólnych porad, jakie komputery byłyby dla kogo idealne i czym kierować się przy ich wyborze.

Chronologicznie rzecz biorąc, najwcześniej – w czasach PRL-u najbardziej brakowało nam takiego komputera, który potrafiłby liczyć to, czego nie ma. Dla elementarnego wówczas działania arytmetyczno-ekonomicznego: „gdybyśmy mieli więcej blachy wyprodukowaliśmy więcej konserw, niestety, nie mamy mięsa” nie opracowano żadnego programu i prawdopodobnie dlatego nigdy nie poznano rozwiązania. Odłogiem leżały właściwie wszystkie wielkie problemy epoki, choćby taki program przeliczania walut, przy założeniu, że 1 rubel wart był tyle co 1 dolar, przy czym: 1 dolar + 1 rubel = 1 dolar, ale kiedy od 1 dolara odjęto się 1 rubla to nic nie zostawało.

Brak komputera, który mógłby to wszystko policzyć, doprowadził tę epokę do upadku.

Warto zauważyć, że wtedy wystarczyłby wszystkim jeden i ten sam program, a i tak nie zdołano go wymyśleć. Obecnie rodzajów komputerów i oprogramowań musi już być cała gama.

Czego innego naturalnie potrzebuje lewica, która nie radzi sobie bez programu, który uzgadniałby wszystko co mówiła wcześniej z tym, co mówiła później.

Dla każdej opcji politycznej konieczne jest opracowanie innego programu, kiedy przestawać stosować rachunek ekonomiczny. Dla komputera PSL-u hasłem, które automatycznie anuluje rachunek zysków i strat oraz tabliczkę mnożenia byłoby słowo: „rolnik”. W programach dla ugrupowań solidarnościowych prawa przy-



rodziny lewicowe powinno być wpisane, kiedy przestać stosować Dekalog.

„Prawna własność” w komputerach lewicowych powinna być zaprogramowana jako nienaruszalna od 1945 roku, a w komputerach prawicowych – do 1945 roku. Komputer skrajnie prawicowy przez „prawną własność” musi rozumieć jedynie własność polską. Komputer ROP-u Jana Olszewskiego przy hasle „kapitał zagraniczny” i „supermarket” powinien dzwonić. Najbardziej radykalny komputer

rodziny uchyłane być by musiały słowem „etos”, przy czym np. w specjalnym programie dla Stoczni Gdańskiej trzeba by znaleźć sposób przeliczania etosu na statek pełnomorski.

W programy

Zygmunta Wrzodaka, pożyczany czasem księdzu Jankowskiemu, powinien mieć program rozpoznający Żydów.

W zależności od zapotrzebowania użytkowników, programy automatyczne nie zamieniać powinny słowo „nomenklatura” na „fachowiec” lub „kapitał założycielski” w komputerach SLD, a słowo „bojówka” na „pokojowa manifestacja” w komputerach prawicy. Odpowiednio: komputery SLD nie powinny w ogóle czytać hasła „pieniądze mo skiewskie”, a komputery prawicy: „aborcja ze względów społecznych”. Lewicę przydałaby się baza danych na prawicę a prawicy – na lewicę.

Stu najbogatszych Polaków potrzebowaloby parku komputerów do zliczenia wszystkich swych długów. Makleron gwałtownie potrzebny byłby system który określałby, w jaki sposób górę pa pierów, jaką mają, ktoś mógłby uznać za wartościową.

Policja powinna mieć komputer, który rozpoznawałby poszukiwanych przestępców w tych osobach, które akurat udało się złapać.

Wielkie miasta muszą wypracować jakąś koncepcję co robić w nich z samochodami w sytuacji, kiedy nie tylko nie mogą one nigdzie jeździć ale i nigdzie stać. Komputer powinien wymyśleć jakąś trzecią możliwość.

Dysko-polo powinno sobie skomputeryzować selekcję piosenkarzy, którzy muszą odpowiadać surowym warunkom, tj. żaden nie może śpiewać lepiej niż wygląda: i – mimo przeszukiwania wszystkich kartotek – trudno już znaleźć następnych.

Już ten pobieżny rejestr potrzeb wskazuje, że ich większość nie jest przez komputery zaspokajana i że najbardziej potrzebne byłyby do innych – niż są stosowane – celów. Otwiera to wielkie pole do popisu przed wszystkimi zdolnymi i ambitnymi informatykami. Jak na razie – z rzeczy najbardziej praktycznych – komputer służy do tego, aby go sobie odpiąć od podatku, a następni podarować.



## Miara sukcesu

**Andrzej Horodeński**

**R**edaktorzy pism komputerowych w większości ulegają przesądnej wierze, że wydają swe pisma po prostu w tym celu, by ktoś je czytał. Tymczasem jak się człowiek dobrze zastanowi, to musi dojść do wniosku, że wydawanie pisma informatycznego jest zadaniem wewnętrznie sprzecznym.

Jaki cel może przyświecać osobom, które biorą do ręki pismo informatyczne a nie np. polityczne, kulturalne czy rolnicze? Pozornie oczywista odpowiedź mówi, że osoby te znalazły się w posiadaniu komputera i teraz chcą się dowiedzieć, co i w jaki sposób można z tym komputerem zrobić, jak wybrnąć z błędów i jak ich unikać. Oczekiwaniom tak zdefiniowanego Czytelnika nie da się jednak sprostać, bo jak można żądać, by wszyscy Czytelnicy, czy choćby ich większość, akurat teraz, w tym miesiącu (mówimy o miesięczniku) stała przed tymi problemami, których rozwiązanie właśnie zostało opisane na łamach? Jak spowodować, by akurat w tym miesiącu Czytelnicy robili właśnie te błędy, sposób uniknięcia których Im podaliśmy w bieżącym numerze? Nawet gdyby wszyscy użytkownicy komputera robili te same błędy, to i tak nie będą ich robić w tym samym czasie i w tej samej kolejności.

Wiadomo też, że fani komputerów nie są zbyt podatni na porady. Raczej odwrotnie – mają oni skłonność do dochodzenia do wszystkiego bez niczyjej pomocy, z czego czerpią powody do zarożumiałości wobec tych, którzy władzy nad komputerem jeszcze nie posiadli. Może właśnie tu tkwi tajemnica fenomenu powodzenia czasopism, których treść nie jest nikomu potrzebna – ludzie czytają pismo po to, by mieć przyjemność z konstatacji w rodzaju: „ale głupoty i banały wypisują ci redaktorzy!”

Chcąc przynajmniej częściowo uciec od dylematów poradnictwa, pisma komputerowe publikują tzw. testy sprzętu i oprogramowania, niejako w imieniu Czytelnika sprawdzając, czy dany produkt wart jest kupienia – CHIP ma na tym polu spory dorobek. Jest to jednak ucieczka z deszczu pod rynnę i to z wielu powodów. Po pierwsze, że egzemplarz jakiegoś produktu pracował w redakcji poprawnie wcale nie wynika, że inny egzemplarz, kupiony przez Czytelnika, nie popsuje się w trzy dni po zakupie albo, co gorsza, tuż po wygaśnięciu gwarancji. Jeśli Czytelnik doznał zawodu,



czyli, czy produkt jest naprawdę „dobry”, ponieważ i tak każdy będzie go używał do innych celów.

Modne w pewnych kręgach teorii prasoznawcze głoszą, że pisma wydaje się po to, by móc sprzedawać reklamy. Prawda to czy nie, Reklamodawcy są ważnymi klientami pisma, w tym także komputerowego. A co leży w interesie Reklamodawcy? Po pierwsze – żeby w piśmie były zamieszczone wyłącznie pochlebne artykuły o Reklamodawcy i jego produktach, no i żadnych wiadomości, dobrych czy złych, o jego konkurencji i jej produktach. To poważny dylemat towarzyszący wydawaniu pisma – wystarczy mieć dwóch konkurujących Reklamodawców, by nie móc spełnić ich oczekiwań, a na ogół potrzeba ich co najmniej około – nomen omen – pięćdziesięciu. Po drugie – Reklamodawcy zależy też na tym, by jego reklama docierała do możliwie wielkiej liczby potencjalnych klientów – czyli na wysokim nakładzie pisma – oraz na niskiej cenie reklamy; między jednym a drugim Reklamodawcą nie widzi żadnej sprzeczności.

Reklamodawca musi też jakoś wierzyć, że to właśnie Czytelnik nasze go pisma jest dobrym kandydatem na klienta Reklamodawcy. Niestety nikt jeszcze nie wymyślił sposobu, jak go o tym przekonać.

to będzie skłonny winić redakcję pisma, które opublikowało pozytywny wynik oględzin. Po drugie, redakcja z samej istoty rzeczy nie jest w stanie obiektywnie spraw-

Wreszcie Wydawca – jego marzeniem jest wydawać pismo nie zawierające żadnych artykułów, by nie musieć płacić honorariów autorom i redaktorom ani się z nimi użerać. Dla Wydawcy jest najlepiej, gdy pismo jest wydawane w jak najmniejszej liczbie egzemplarzy (minimalne koszty druku) i zawiera wyłącznie bardzo drogie reklamy. Proszę to porównać z interesem Reklamodawcy... Oczywiście, oczekiwani Wydawcy żadna redakcja nie jest w stanie spełnić choćby w przybliżeniu. Sprawa jest tym bardziej śliska, że to właśnie Wydawca jest pracodawcą członków redakcji.

Łamy popularnego pisma informatycznego, jakim jest m.in. miesięcznik CHIP, to pole, na którym trwa bezwzględna wojna między racjami najzupełniej sprzecznymi niemożliwymi do pogodzenia. Jeśli więc jakaś redakcja potrafi w dobrej kondycji przeżyć wewnątrz bermudzkiego trójkąta: Czytelnik-Reklamodawca-Wydawca aż 50 miesięcy i wydać aż 50 numerów pisma, to bez względu na to, czy budzi to podziw czy zawiść (najpewniej jedno i drugie), uczciwie ocena tego osiągnięcia może mieć tylko jeden wyraz – owacja na stojąco.

*Andrzej Horodeński – fizyk, dziennikarz, do niedawna redaktor naczelny magazynu komputerowego „ENTER”*

